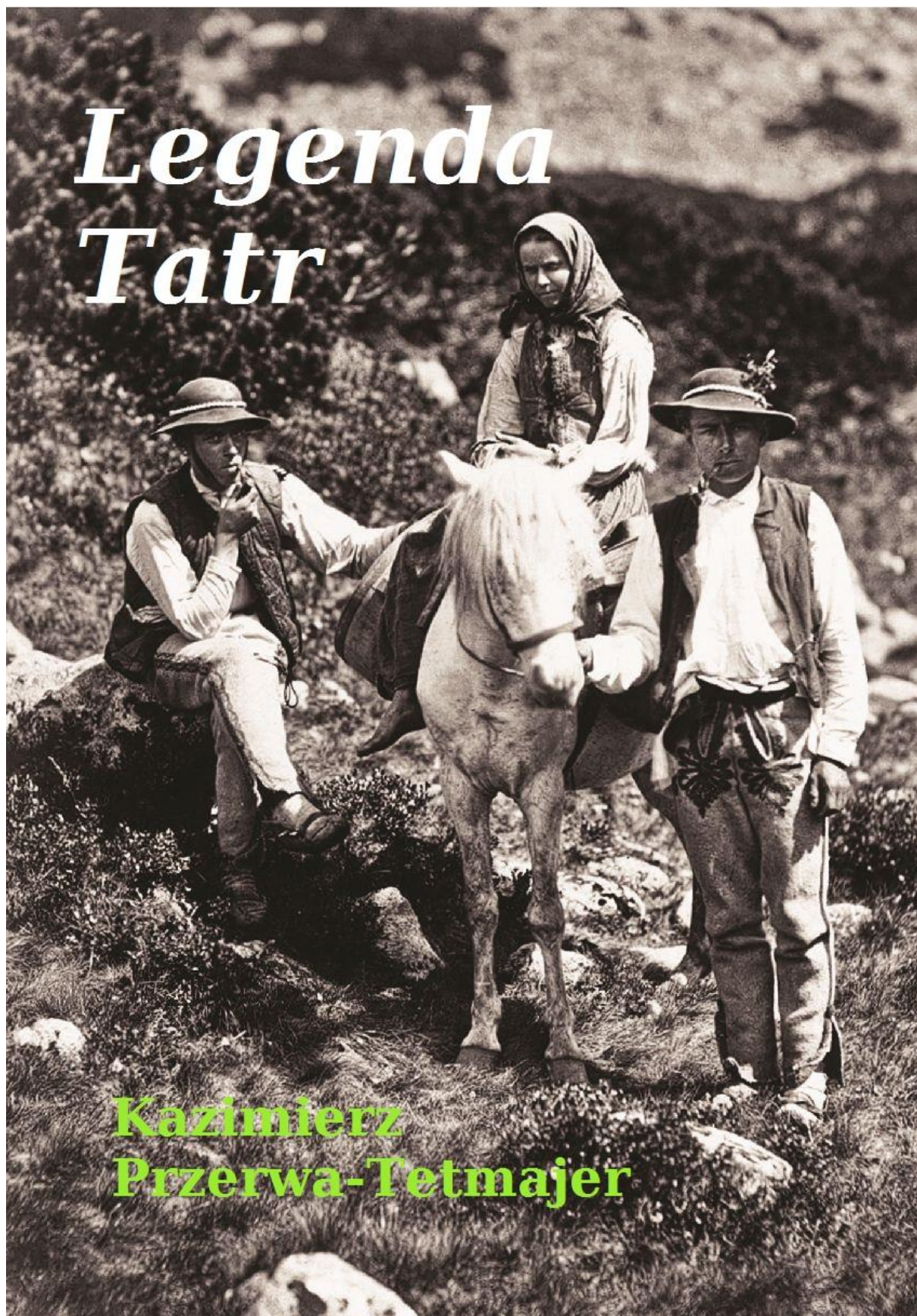


Legenda Tatr



**Kazimierz
Przerwa-Tetmajer**

Kazimierz Przerwa-Tetmajer

LEGENDA TATR

Pamięci Seweryna Goszczyńskiego pierwszego poety Tatr

Wydawnictwo Estymator
Warszawa 2021

ISBN: 978-83-66719-27-9

Autor fotografii na okładce: Awit Szubert
Jej temat: pasterze jurgowscy w Dolinie Białej Wody, 1876-1878

Tekst:
Maryna z Hrubego: Gebethner i Wolff, Warszawa, Kraków 1910
Janosik Nędza Litmanowski: IW Biblioteka Polska 1922

Spis treści

OD AUTORA (4)

MARYNA Z HRUBEGO (5)

JANOSIK NĘDZA LITMANOWSKI (126)

OD AUTORA

„Legenda Tatr“, podobnie jak „Na Skalnem Podhalu“, do którego ściśle należy, nie jest oparta na żadnej ludowej tradycji. Historyczną figurą jest Napierski, ale opracowanie jego historii jest tu poza najogólniejszymi konturami zupełnie dowolne. Drugą autentyczną postacią jest Nędza Litmanowski, czy Litmanowski Nędza. Zapisek o nim, że się na szlachcie za nieludzkie karanie chłopów po buncie Napierskiego mścił, potem przeciw Szwedom powstał. Więcej nic. Dałem mu imię Janosika, chcąc polskiego Janosika stworzyć, albowiem rzeczywisty był Słowakiem. Oryginalnych śpiewek góralskich od moich na ich temat warjantów zbyt trudno byłoby mi oddzielić. Łatwiej odróżnić podania i opowieści autentyczne. Opowiadka o Morskiem Oku i piwie jest w pierwszej połowie oryginalna góralska, dalej o Perłowicu, diable-źrebięciu, Matce Boskiej na Suchych Horach, o furmanie i mleku; z książki profesora Stopki o Sabale wyjąłem opowiadania o stworzeniu kobiety; djable, chłopie i jarcu; śmierci i świni. W mitologię góralską wplotłem szczegóły mitologii słowiańskiej, budując także cały gmach własnej. Toporowie, Łamiskała i Walilas, Pętorzek i Wódpusc, poczwary w „Krakowie“ w Kościeliskach, kara zbójcka za zdradę, historia o kościele i djable są przeze mnie ułożone. Pochód w hale, wzorowany na opisie ś. p. ks. Sutora, z czasów dla mnie już niedostępnych. Epoką „Legendy Tatr“ jest wiek XVII. Język góralski jest, co się da stwierdzić, w znacznej części ogólną staropolszczyzną.

MARYNA Z HRUBEGO

CZEŚĆ PIERWSZA

Ujrzała Maryna w nizinie Czarny Staw. Wiatr kołysał ponurość jego wód wśród mgieł, w pomroce. Głuchy bełkot dawały fale o głazy u brzegów bijąc. Coś niewypowiedziane smutnego szło od tej toni w górę. Stojąca na uboczu pod Kościelcem Maryna patrzyła w tę wodę, o której słyszała od urodzenia. Z biczem w ręku, opasterzona w płachtę szarą od deszczu, patrzyła w dół z pod skały, podana piersią naprzód. Jej szafirowe ogniste oczy stykały się z czarną, posępną powierzchnią wody, wiązały się z nią, zdawały spływać w jedno. Dusza dziecka-dziewczyny uczuła się tak samo wahaną głucho wiejącym wiatrem. Po raz pierwszy poszła paść w hale i po raz pierwszy spojrziała na tę wodę, której imię było jądrem rozmów na Hrubem. Lecz imię prawdziwe tej wody było: groza.

Powoli mgły zakryły staw i omroczyły Marynę, tłumiąc wiatr. Nieprzewładana pustka objęła ją, nieogarnione stracenie się od świata. Uczuła nad sobą zwały spiętrzone ślizgich, skrzęsanych, niebosiężnych skał i pod sobą wodę zapadłą w mgły i w okrąg mgły niezmiernie. Uczuła się w pustkowiu nieprzewładanem. I uczuła, że wszystko, co w sobie miała, ucichło, znikło. W duszę jej wrażała się ta godzina z mocą, wiadomą, że niezapomnisz jej nigdy. Oparła się na biczysku i pochyliła twarz. Zapamiętała się w mroku.

Wtem tknęła jej ramienia ręka brata Sobka, juhasa, który rzekł:
— Ja za tobom seł; haw przepaści...

* * *

Wrzało już, choć nie buchał jeszcze płomień. Chmielnicki gotował się do ostatecznej rozprawy z królem i Rzeczpospolitą. Gdy Jan Kazimierz rozsyłał wici na pospolite przeciw kozakom ruszenie, tysiące wysłańców Chmielnickiego pospieszyło do dalekich ziem polskich, pod Poznań, Kraków, w zachodnie województwa. Mieli oni podniecić chłopów do buntu, gdy tylko szlachta pociągnie w pole.

Strach zaś był wielki. Olbrzymią armię zbierał Chmielnicki. Naprzeciw sił królewskich zgromadził przeszło trzysta pięćdziesiąt tysięcy kozaków, czerni i ordy tatarskiej.

Chmielnicki zamierzał daleko: zamierzał zwalić całą szlachecką rzeczpospolitą, wywołać powszechne powstanie polskiego ludu, Rakoczemu ułatwić zajęcie Krakowa, szlachtę zdruzgotać raz na zawsze.

Rzucono i rozszerzano wieść, że szlachta buntuje się przeciw królowi, że wymordować chce chłopów, że kozacy na pomoc królowi i obronę chłopów ciągną. Judzeni chłopci, skorzy dla tyraństwa, ucisku i wyzysku panów dawać posłuch podobnym wieściom, łatwo burzyć się zaczęli. Buchnęły tu i owdzie pożary, w lasy chłopci na tajemne narady szli, zuchwalsi, odważniejsi wobec szlachciców i ich sług się stali.

Na Podtatrzu, w Beskidach, lud zdawien dawna do łupieży, zbójectwa, oporu był pochopny. Przez całe Karpaty od zachodu do wschodu ich granic węgierskich raz wraz tworzyły się i dawały o sobie znać bandy grabieżcze.

W województwie krakowskim, w małym stosunkowo okręgu górskim, więcej było zbójów i napadów, niż na ziemiach całej Rzeczypospolitej polskiej, a typ życia górali podobny był do typu życia zaporozkich kozaków.

Rody sołtysie używały tej wolności w górach, jaką cieszyły się rodziny kozacze na Rusi, a młódź chadzała na zbój na obie strony gór, jak kozacy na wyprawy z Siczy. W owym czasie górale byli rozjadli. Od trzydziestu lat trwał spór między dworem szlacheckim i ekonomiami duchownymi i królewskimi o czynsze za wypasy na polach, na które jedni chłopci mieli przywileje i nadania z uprzednich czasów, inni nie mieli, z rozmaitym słuszością,

ale i z tem, że i słusność gwałcono. Prócz tego Lubomirscy, chciwi tytułów i majątków, wstydzący się już rodzinnego, małego Lubomierza, a piszący się hrabiami na Wiśniczu i Jarosławiu (Wacław Śreniawa Potocki: „Wojna chocimska”), jęli wydzierżawiać dla większego zysku Żydom cła, myta i karczmy i wzbraniać palenia wódki i szynkowania, wbrew prawom osadniczym, warującym sołtysom i całym gromadom w kasztelanii krakowskiej własne karczmy i gorzelnie. Za przykładem nowych, ale już magnatów, szła okoliczna szlachta. Rozjątżzeni chłopci rwali się do oporu i odwetu, powstawały bandy po kilkudziesięciu ludzi, napadano dwory i podłoże pod bunt powszechny było gotowe.

W uczuciu pewnej trwogi i niepokoju opuszczała szlachta podgórska dwory i zagrody, aby do obozu królewskiego pod Sokal ciągnąć. Szczupłe, prawie nieistniejące, lub zgoła nieistniejące załogi po starościch grodach i gródkach, strzec mający w czas wojny pokoju domowego wojscy, prywatne poczty te, których przeciw Chmielnickiemu nie pchnięto, panów duchownych i świeckich: małą dawały ochronę i skąpe bezpieczeństwo. Główną otuchą szlachty, wyciągającej z progów rodzinnych, była nadzieja, że chłopci się na nic większego nie ważą, a także przekonanie, że nad ogólniejszym ruchem musiałyby stanąć jedna i nie chłopska, nie chamska głowa. Nie bez trwogi, ale wżgardliwie licżono, że się taka głowa nie znajdzie. Nie przypuszczano dwóch Chmielnickich równocześnie, gdy jeden już był i od lat całych nękał wojną i odetchnąć nie dawał.

W dumnej hardości z zamków swoich spoglądali na okół panowie małopolscy, ci, którzy dla wieku, czy niedomagania w pole na wezwanie królewskie nie wyszli, i plenipotenci pańscy, pod czas dominiami rządzący; z umyślnem też lekceważeniem patrzyli na ruchy chłopskie urzędnicy królewscy. Starosta czorsztyński, pokojowiec królewski, Platemberg, w zamku dzierżawców Żydów pozostawiwszy, w zbroi szmelcowanej ku wojsku odjechał.

Gdy Szymek Bzowski, czyli Aleksander Leon Kostka z Krakowa do Siworogu, zamku Joachima Herburtu, pana na stu wsiach, u którego podówczas bawił, zakupiwszy odzienia z sercem rozżęsknionem wracał: na każdym popasie, od Mogilan począwszy, tu o podpaleniu, tam o kradzieży, ówdzie o zabójstwie nawet słyżał, a gromadki chłopskie, nie budzące ufności, po drodze spotykał.

Ale jego strój szwedzki, bródka z szwedzka przycięta, łatwa do poznania, najęta w Krakowie kolasa, czyniły na chłopach wrażenie, iż obcy to człowiek jedzie, a napadu lękać się potrzeby mieć nie musi, skoro go nawet na pachółka przy boku woźnicy nie stać, bez którego lada szlachetka za próg z domu nie stąpił. Mijano go też bez uwagi.

Ów zaś plany szerokie roił.

Beatę Herburtównę, jedynaczkę, poślubić, na stu wsiach panem się uczuć, rywala wojewodzica Sieniawskiego pognębić, a potem — ? Król Jan Kazimierz bezdzietny był, linia Wazów polskich gasła — on jeden krew z krwi, kość z kości króla Władysława Czwartego, wnuk jedyny Zygmunta Trzeciego, pierwszego z dynastyi, w Polsce pozostawał... A choć go mała szlachcianka, panna Tekla Bzowska porodziła, po ojcu on jeden z królewskiej w Polsce krwi się wiódł... Gdyby jakiś wielki czyn, jakiś czyn znakomity...

Na dworze szwedzkim wiedziano, kim jest, gdy z listami króla Władysława, wzywającemi do wojny tureckiej, w 1648 r. jeździł i przyjmowano go odpowiednio; znał go także, jako królewskiego syna książę Siedmiogrodu, Rakoczy, u którego po śmierci ojca przebywał; wiedział o nim Chmielnicki. Czuił w sobie zręczność, śmiałość, dar ujęcia ludzi, przyjaciół znaleźć się spodziewał. Wychowany też w magnackim domu Kostków z dzieciństwa, otarty o dwór jako paż królowej Cecylii Renaty, wiedział, iż niejednego z panów panicza dwornością, pańskiem obejściem przewyższy i gdyby trzeba było, głowę wzniesć i panem stanąć potrafi.

Rozumiał też, że król ojciec nie nic o nim myślał, gdy go niewątpliwie z królewską wolą do Kostków, których imię przejął, na wychowanie dano, gdy go później do fraucymeru królowej ztamąd wzięto i gdy nakoniec jako wysłaniec królewski do Szwecyi, miał

kreduywy do wszystkich monarchów i książąt chrześcijańskich. Król Władysław IV jedynego miał syna, Zygmunta, i ten umarł. On był jedynym synem królewskim, dziedzicem...

Małżeństwo stryja Jana Kazimierza z królową wdową nie wróżyło już potomstwa — ale możnowładcy polscy choćby królewskiego bękart na tronby nie puścili. Nie puściłaby go też i szlachta, ciemna, głupia i możnowładcom służąca. Ha! I jednych i drugich zgnieść!

Pycha pierś Kostce rozpierała, żądza wzniesienia oddech dławiała. Zgnieść, zdeptać, a znakomitym wojennym czynem błysnąć i ogłosić się światu!...

Pod króla znaki pociągnąć nie chciał — nie chciał służyć temu stryjowi, który go nie znał, który na tronie jego ojca siedział, nie chciał służyć i słuchać, gdy się do panowania i rozkazywania urodzonym widział.

Zawidził też panom polskim nad wyraz wszelki. Ci magnaci, którzy, jak Bogusław Radziwiłł, kiedy jechali incognito, w tysiąc koni jechali; ci dawni, dumni z rodów Zborowscy, Chodkiewicz, Tarnowscy, ci dumni z książęcej krwi Wiśniowieccy, Zbarazcy, Zasławscy, ci pyszni, rosnący przy pomocy łask królewskich zagrabiciele dostojenstw, władzy i bogatych starostw, Lubomirscy, Koniecpolscy, Potoccy: khuli go w oczy aż do krwawych w nich światła.

A porównano z ambycją, gwałconą miłością własną, zazdrością wrodzoną: wrzała mu w sercu miłość do Beaty Herburtówny.

Jej serca pewny był, lecz i tu naprzeciw niego stał szlachcic — pan polski, potomek przodka, który się na akcie unii lubelskiej podpisał, prastarego, potężnego, przesławnego domu syn: Jan Sieniawski, wojewodzie krakowski.

Polak, rdzenny Lach, również z Herburtówny urodzony, w którego żyłach krew wszystkich polskich królewic płynęła.

Bogaty, jak król, władny, jak hetman, butny, jak książę udzielne, urodny, jak bożek słowiański.

Drobny, nikły, w obcisłych, szwedzkich pluderkach, często skrycie łatanych, karłem i nędzarzem czuł się syn króla Władysława naprzeciw tego dębca, od złota i drogich kamieni lśniącego.

Gryzł Kostka pod cienkim, czarnym wąsem wargi i w palcach niecierpliwych pierścionek z włosów Herburtówny, ofiarowany mu jako zadatek miłości, obracał.

Jako Kostka, choć z mniej bogatego, mniej możnego domu, niż Sieniawski, od tego kasztelana rzekomo się wiodł, co również podpis na akcie unii za Zygmunta Augusta położył. Świętego też w rodzie miał, a ztąd osobliwe błogosławieństwo nad domem Kostków upatrywano.

Stary Herburt, pobożny nad miarę, ze czcią go i poszanowaniem, jako krewnego świętych gościł i niewątpliwie przez samą pobożność związkowi z córką nie miałby się sprzeciwiać.

Do stanowczego punktu musiało przyjść. Sieniawskiemu na polowaniu kość niżej łokcia niedźwiedz przetrącił i ztąd on, sześciuset husarzów i tysiąc piechoty własnego pokrycia królowi pod Sokal posławszy, sam w domu pozostał i do Siworogu, jako krewniak po matce i konkurent do panny zjechał.

Popierała go stryjna panna, kasztelanowa księżna Dymitrowa Korecka, po śmierci matki matkę Beacie zastępująca, pani dumna i ubogim, choćby to był nie Świętego Stanisława Kostki, ale samego Świętego Piotra krewny, gardząca.

Gdy Kostka w nowym odzieniu na zamku Herburtowskim stanął, zastał on tam sprawy naprzód pchnięte. Oto księżna Sieniawskiego, który rzeczy aż do szczęśliwego zakończenia kampanii kozackiej odkładał, nastraszyła Kostkę i ten się zdeklarował i o panny rękę tegoż dnia właśnie prosić się gotował.